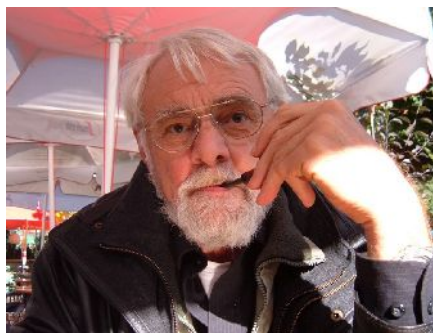


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Goethe w Piwnicy Auerbacha (1)

W tym mieście przy ulicy Neumarkt, w zwałistym gmachu byłego Domu Handlowego „Madler-Passage” w części piwnicznej, znajduje się słynna winiarnia Auerbacha. Przypomina mi ona nieco Jamę Michalikową w Krakowie, która też obrosła legendą. Spędziłem w „Piwnicy Auerbacha” całe popołudnie, nie chcąc błąkać się po mieście. Lipsk nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia, szary, ponury i brudny. Jeszcze nie dotarł tu oddech Zachodu, było zresztą na to za wcześnie. Parę razy wstawałem od stolika, dzwoniąc z automatu do mieszkania Wolfganga, ale telefon nie odpowiadał. Delektując się wyborynym winem, przeglądałem stertę wierszy, za tłumaczenie których miał się zabrać Wolfgang. Winiarnia roiła się od gości, wszystkie stoliki były zajęte. Byli to przeważnie turyści zwabieni w to uroczę miejsce imionami niegdysiejszych bywalców tego przybytku Goethego i Fausta. Stara lektura, która wyleciała mi już z głowy, ale pamiętam jedną scenę, kiedy to Mefistofeles wiedzie uczzonego doktora właśnie w czeluście tej piwnicy, w gwar mocno wstawionego już towarzystwa, które przyjmuje obecność Mefista drwinami. Ułomność ludzka zawsze zbywana była drwiną i naigrywaniem. Chcąc przypodobać się gawiedzi, diabeł śpiewa pieśń o królu i pchle. Mefisto nie chce być gorszy, usiłuje olśnić prostaczków sztukami czarnoksiężskimi. Oto wierci w stole otwory, potem zatyka je lanym woskiem i każe rozrabianej publiczności wydłubać wosk. I wówczas zaczyna tryskać wino ku zaskoczeniu wszystkich. Ale to tylko jeszcze bardziej budzi w nich złość. Rzucają się w jego stronę z pięściami, a Mefisto rzuca na nich czar... Zaraz, jak to brzmiało... „Parszywy obraz, słowa zmyślane odmieniają umysł, przestrzeń i stronę – bądźcie tu i tam!”. Słowa zmyślane odmieniają umysł... Czy Mefisto mógł przewidzieć Hitlera?

Nie, to bzdura, chociaż... Sceny z „Fausta” zdobią ściany sal, zaś Mefistofeles i Faust, dwa posągi, jakby strzegły wejścia do sławnej

piwnicy. Turyści chętnie fotografują się w tym miejscu, obejmując ramionami zakłętę w kamień literackie postacie. Wspinają się też na wielką beczkę, na której lekarz-magik i cudotwórca, wyjeżdżał z czeluści piwnicznych na ulicę po skończonym występie. Wspaniała Goethe! Kiedy byliśmy z Brigitte i Manfredem w Krakowie, pokazaliśmy im Instytut im. Goethego w Rynku Głównym. „Das gefällt mir sehr!” – powiedział Manfred, kładąc mi rękę na ramieniu w serdecznym geście. Powiedziałem mu, że według legendy, doktor Faust studiował teologię właśnie w Akademii Krakowskiej, a do Lipska zawitał w 1525 roku, na co Manfred pokręcił głową. Jako fizyk i matematyk znał inną legendę, wedle której dr Jan Faust jako już teolog, dotarł do Lipska z racji odbywających się w tym mieście sławnych targów, a jeżeli miał już cokolwiek tu demonstrować, to właśnie lot na beczkę wzdłuż jednej z uliczek i był to zatem pierwszy w świecie wyczyn auronautyczny. Mogło być i tak. W każdym razie w sto lat później – właściciel winiarni wziął to sobie do serca i wynajmując artystów-malarzy, kazał im wymalować, za sowitym wynagrodzeniem, na ścianach i sklepieniach sceny z dziejącymi się w piwnicach wydarzeniach i rzeczywiście artyści wywiązali się z tego zadania znakomicie. Sam Goethe przebywał w Lipsku w charakterze studenta w latach 1763-1768 i bywał niewątpliwie w sławnej winiarni Auerbacha. Oto tkwiąc przy szklanicy wina, patrzył na obrazy i jego wyobraźnia pracowała intensywnie, w czym pomaga poetom między innymi wino. I pewnie wówczas, w jeden taki wieczór jak ten, w jego głowie zrodził się zamysł napisania poematu.

I mnie szumiało porządnie w głowie po kilku lampkach wina i wszelkie usiłowania skupienia się na treści własnych wierszy, okazały się teraz daremne. Zawiązałem wstążkę w papierowej teście i oddałem się cały studiom nad malowidłami. Oto brodaty Faust kroczący dostojnie pośród tłumy ludzi. Jego akademicka toga zdaje się falować, a kłęby papierosowego dymu jakby uruchomiły pozostałe postacie, kłębiące się wokół mistrza. Przetarłem w wrażenia oczy, ale zjawisko ruchu, nie zastygło w miejscu. W tej chwili rozległ się jakiś szmer ludzkich głosów. Obcojęzyczny gwar panujący dotąd jakby zamarł, przestały błyskać flesze aparatów, aby w chwilę potem przejść w istną feerię błysków. Poprzez snujący się dym dostrzegłem zbliżającą się do mojego stolika postać... Goethego. Niech to diabli, pomyślałem. W tym młynie ludzkich twarzy z malowideł Molitora, Rentscha, Horsta-Schulze i Hansa Besta wszystko może się zdarzyć, chociaż pośród tej plejady postaci nie zauważyłem Goethego. Teraz stał przede mną, jakby żywcem wyjęty ze słynnego obrazu J.H.W. Tischbeina: Goethe in Italien, vor den Ruinen des alten Rom. Długa, powłóczasta szata, szerokie rondo wielkiego kapelusza. Jakby schwytywanie poety na gorącym uczynku bycia. Wkroczył w tę tłumną obecność winiarni, jakby nigdy nic i teraz wszystkie oczy skierowały się w naszą stronę, nadal błyskały flesze aparatów. Doskonałość tego ubioru, rysy twarzy, w których po chwili dopiero

rozpoznałem Wolfganga sprawiły, że po sercu rozlała mi się nagle wielka tkliwość, ale nie potrafiłem wyrazić mu swego uznania i aprobaty. To był dopiero numer!

– Aby poznać człowieka – trzeba go pokochać! To św. Augustyn... – powiedział Wolfgang, wyciągając w moją stronę przepastne ramiona. Oczywiście natychmiast mu wybaczyłem ponad dwugodzinne spóźnienie. Usiadł, zamaszystym gestem poprawiając fałdy sukmany i zaginając rondo kapelusza. Wokoło dzwoniły dzwoneczki podekscytowanych rozmów. Zrobił swoją osobą prawdziwą furorę i rozpierała go teraz energia. Natychmiast pojawił się kelner z dwoma butelkami wina. To na koszt szefa – powiedział, poklepując Wolfganga po ramieniu. Zawisła nad nami kopała słów jakbyśmy chcieli sobie natychmiast wszystko powiedzieć. Kłębiły się w tej naszej głośnej rozmowie strzępy jakichś znanych mu wierszy, jeszcze Goethego, a potem zanurzyliśmy się w moich wierszydłach. Wolfgang czytając głośno wiersze, mówił coś o słowach, które bywają często jakby źródłem nieporozumienia, choć są przecież środkiem porozumienia. „Może właśnie dlatego wiążujemy je w zamknięte układy wierszy, wiążujemy konopnym sznurkiem właśnie po to, aby nie miały siły siać zamętu i nieporozumienia”.

Wolfgang rzucił okiem na przyniesione przez kelnera flaszki z winem. Mrużąc oczy, doszukiwał się na etykietce roku produkcji, potem nagle wstał i wrzasnął na cały głos: Ich habe es gern, venn Besuch zu uns kommt! Ich möchte, daß sich die Gäste bei uns wohl fühlen!”. Bardzo lubię, kiedy przychodzą do nas goście! Chciałbym, żeby goście dobrze się u nas czuli! I tu nakazał utoczyć z beczki trunku i zabrać ze stolika flaszki, które były omszałe z długiego leżakowania.

– To wszystko fałsz, mistyfikacja, mój przyjacielu! – powiedział, spotkawszy mój zawiedziony wzrok. – Wszystko w tym kraju było mistyfikacją i długo jeszcze tak pozostanie. Pomyśl, minęło ponad dwieście lat od czasu, kiedy mój imiennik Goethe przestąpił progę tej winiarni i oni chcą to stłamsić, zgnoić. Wszystko tu utonęłoby, ugrzęzło w bagnisku, na którym wybłyskują po dziś dzień czerwone języki. Trzeba będzie je długo gasić, osuszyć teren, przekopać mózgi. To komunistyczne bagno chłonęło wszelkie wartości, aby je zemleć, unicestwić, zeżreć!

Cały czas krzyczał, a wokół nas kłębił się ten cały towarzyski młyn, turyści nadal fotografowali nasz stolik, niektórzy usiłowali się dosiąść ze swoją czarką wina, a Wolfgang odpychał ich swoim, kapeluszem, pod którym pieniała się przyczepiona peruka. Tęgo szumiało nam w głowach, ale to było lekarstwo na nasze rozkołatanie myśli. Wiersze odeszły gdzieś od nas i w przystępie jakiejś trzeźwej myśli pomyślałem sobie, że nigdy nie będą przetłumaczone przez Wolfganga i dobrze im tak. Za dużo miał zobowiązań wobec innych poetów, także z mojego kraju. Upił się na smutno, ja także. A smutek to nic innego, tylko trąd duszy. A ludzie uciekają od trędowatych.

Kazimierz Ivosse